

Poniewczasie

Poniewczasie
Wit Szostak



powergraph

Warszawa 2019

Copyright © 2019 by Wit Szostak
Copyright © 2019 by Powergraph
Copyright © 2019 for the cover by Ula Pağowska
Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Redakcja: Michał Cetnarowski
Korekta: Maria Aleksandrow
Skład i łamanie: Powergraph
Projekt okładki i ilustracja: Ula Pağowska
Fotografia autora: Mikołaj Starzyński
Projekt graficzny i opracowanie: Rafał Kosik

Wyłączny dystrybutor:
Firma Księgarska Olesiejuk Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel.: +48 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl



Wydawca:
Powergraph Sp. z o.o.
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa
tel.: +48 22 834 18 25
powergraph.pl
e-mail: powergraph@powergraph.pl

ISBN 978-83-66178-02-1

Druk: Białostockie Zakłady Graficzne SA
Printed in Poland, EU

Mamie Ignacego

STYCZEŃ

1 stycznia

Jutro zacznę pisać dziennik.

3 stycznia

Przedwczoraj napisałem: jutro zacznę pisać dziennik. Przedwczoraj napisałem, że wczoraj zacznę pisać dziennik. Nie zacząłem, nie dotrzymałem. Czy można dotrzymać słowa, którego się jeszcze nie trzymało? Trzymał i nie dotrzymał. A jeśli nie trzymał? Zdanie z przedwczoraj nie należy do dziennika, dziennik miał się zacząć wczoraj, zatem jego zapowiedź jeszcze dziennikiem nie jest. Zatem wykreślić. Można zacząć dzisiaj, na nowo, nie wspominając, że się zaczęło przedwczoraj. Ukręcić łeb nieudanej próbie, wymazać. Ale wtedy również to, co dzisiaj pisane, traci sens. Może więc też wymazać? I zacząć na nowo, jeszcze raz. I tak zaczynać każdego dnia, aż się wreszcie uda zacząć dobrze.

A może dziennika się nie zaczyna, może nie da się zacząć? Ciągle odwlekany, zawsze jest tylko szkicem siebie? Może dziennik zawsze zasysa to, co jest jeszcze niedziennikiem,

już niedziennikiem, zawsze niedziennikiem? Czy ten pisany dzisiaj to już dziennik? Dlaczego, bo zapowiedziany? Ale zapowiedziany przez niedziennik, więcej: niedziennik analizujący. Może więc nadal niedziennik?

Zaczynać dziennik. Co jest jego zaczynem? Co sprawia, że nagle niepiszący dziennik staje się diarystą? Wczoraj jeszcze nie był, dziś już jest. Frapuje mnie to pomiędzy *jeszcze nie* a *już*. Pomiedzy ciche, bezgłośnie, jak pomiędzy wdechem a wydechem. Jeszcze nie był i już jest. A może diarystą zostaje się po miesiącu, po roku regularnych wpisów? Przecież w pierwszych dniach można się zniechęcić, przerwać pisanie. Ale jeśli diarystą staje się, powiedzmy, po roku, to kto pisze dziennik, który ma na tytuł diarysty zapracować? I czy jest to dziennik, jeśli pisany przez niediarystę? Musi być dziennikiem, by za rok zaświadczać za diarystą. Niedziennik by nie zaświadczył. Niediarysta pisze niedziennik, który za rok jako dziennik zaświadczy, że spisywał go diarysta. To się wydarzy po drodze, cicho i złodziejsko.

Pisać na pograniczu tej aporii, błądzić wokół tego nierozsupłania. Tylko po co?

4 stycznia

Wczoraj zacząłem pisać dziennik. Coś, co jest zaczynem dziennika, co dziennikiem się stanie i w pewnym momencie nie będzie już żadnych wątpliwości. Ale skąd się wzięł zaczyn? Zawsze dziwiło mnie, jak człowiek w pewnym momencie podejmuje decyzję: zaczynam pisać dziennik. Po co? Jest coś nieznośnie dwuznacznego w tej czynności, w tej gotowości do zapisywania błahych zdarzeń, myśli, obserwacji, w nadziei, że prezentują jakąkolwiek wartość. Widać w tym cień hybris autora, przekonanego, że jego życie i jego spojrzenie na życie warte są spisania.

Każdy ma codzienność, lecz większość pozwala jej przejmować, uchodzić. Smętna zgoda na to uchodzenie oddaje chyba całą złożoność tego procesu. Dziennik to niezgoda, to powstrzymanie uchodzenia, wydzieranie cennych kropeł przeciekaniu chwil. Może cennych jedynie dlatego, że wydartych przeciekaniu? Może sam gest niezgody na przeciekanie zmienia szare, brudne krople w wino?

Z początku od dziennika nie oczekuje się wiele. Dziennik to zobowiązanie do samego pisania, nic więcej. Będę pisał dziennik to tyle, co: będę pisał. Nieważne co, nieważne jak, ale będę i wytrwam. Akt desperacji: uczynię swoje życie ważnym tylko dlatego, że przyłgnę do niego dziennikiem. Dziennik jak wieczorny oddech, rytm i szyfr życia, nieistotnego, lecz mimo to pochwyconego w słowa.

Tkaczyszyn-Dycki:
istotą poezji jest nie tyle zasadność
co bezzasadność napomknień i powtórzeń

Żyję z tą frazą wiele lat, powtarzam ją każdemu, jakby była moja. Jest moja, często ją przekręcam. Raz zapisałem z błędem, istotą powieści..., błąd spostrzegłem rok później. Wcześniej nie raził, nie był błędem, wydawał się na miejscu. Ukradłem tę frazę i czasem nią oddycham. Dlaczego teraz wraca? Bezzasadne pisanie dziennika, nieznośna relacja z nieistotnego życia. Napomykanie, przebąkiwanie. Białe obszary milczenia, szczelnie zapisane literami, by nikt w nich milczenia nie dostrzegł.

Przemilczenia, przekłamania, przeciekania. Dać ujście czy powstrzymać uchodzenie?

Muszę mieć bohatera.
Bohater musi być uchodźcą.
Dlaczego?
Nie wiem, ale musi.

5 stycznia

Poprawiłem poprzednie wpisy. Cyzelowanie, szukanie szyku, płynność, podfałszowywanie tonu; wsłuchiwanie się w melodię. Po co? Bez poprawek było prawdziwiej. Było, jak było, zatrzaśnięte świadectwo minionego dnia. Wieczorny zapis w pliku, potem sen, nie można nic zmieniać. Ale zmieniam, ulepszam, szlifuję. Dla kogo? Sam tego potrzebuję? A może wstyd przed innymi, niecyzelowane zawstydza?

Pojawiają się inni, zawsze są jacyś inni. Inny nie wie jeszcze, że jest inny. Nie wie, że piszę coś, co poprawiam, by nie czuć przed nim wstydu. Inny nie wie, że jestem. Kim jest inny? Dlaczego mu ulegam?

Każde zdanie, szeptane sekretnie samemu sobie, zostaje podsłuchane, czuję podsłuchującego za plecami, ktoś zagląda przez ramię. To przed nim poprawiam się, wygładzam fałdy. Liczyłem, że dziennik będzie ucieczką. Pisany dla siebie, prywatnie. Od pierwszego zdania jest publiczny. Każde słowo jest publiczne, każdy dom otwarty na oścież. A może tym innym będę ja za kilka lat?

Zajrzę z nostalgią do zapomnianego pliku lub przejrzę porzucony wydruk. Będę inny, niż jestem. Starszy, głupszy, mądrzejszy, bardziej łysy. Może chory. Może biedny. Może rozwiedziony, bezdomny, nieszczęśliwy. Może spełniony. A może zwyczajnie nieistotny, ustawicznie nieuzasadniony.

Zapomnę siebie z teraz, poczytam o innym sprzed lat. Inny ja o innym sobie. Może właśnie taka własna inność wystarczy? Może każe mi poprawiać to przeczcucie swego

własnego, przyszłego spojrzenia, które nieuważnie omiecie te słowa? Czy będę pamiętał o tym przecuciu jako inny?

Nie będę, ale przeczytam.

Bohater ma biurko ustawione tyłem do drzwi. Każde wejście innego, nawet ciche i bose, odrywa go od pisania. Unosi rękę nad klawiaturą, gubi słowa, nie ma siły na napomknięcia. Wie, że za plecami stoi inny, choć inny zapewne nie podczytuje. Czuć spojrzenie, którego się nie widzi, spojrzenie, które dopiero będzie. Nawet jeśli nie ma tego spojrzenia, jeśli nie istnieje jeszcze ten, który będzie spoglądał, to spojrzenie kwestionuje. Pisanie jako wieczne usprawiedliwianie się, przebąkiwanie o własnej zasadności.

Podglądam takiego bohatera, widzę jego skulone plecy, które naciąga na monitor, chcąc zakryć sobą słowa. Zaczynam go czuć, słyszeć cichy syk uchodzenia.

Word zastąpił syk szykiem. Słowo za słowo. Cichy syk uchodzenia. *Cichy syk uchodzenia*. Dobry tytuł. Do przemyślenia.

6 stycznia

Czy można wiedzieć, o czym będzie pisana powieść? Czy taka uprzednia wiedza nie kwestionuje samej powieści? Wiedzieć, co się chce powiedzieć – to czyni powieść zbędną, redukuje ją do roli narzędzia do opowiedzenia tego, co już wcześniej znane i przemyślane. Dowiadywać się za pomocą pisania powieści, co chce się powiedzieć, wędrować powieścią jak po drodze, to dopiero wyzwanie. Inaczej tajemnice zmieniają się w zagadki, które mają rozwiązanie na ostatniej stronie czasopisma, znane z góry, zakryte przed zgadującym jedynie tymczasowo. Czczą gra w nabijanie strzelb. Bawić się w zagadki to nie doceniać powieści, marnować ją na sprawy błahe. Myśleć powieścią, drażyć opowieść, wywlekać na jaw.

Bohater jest uchodźcą. Ma dom, rodzinę, nie ma wojny. Uświadamia sobie uchodzenie jako własną kondycję, dochodzi do tego. Rozpoznaje, że nie ma swego miejsca, wszędzie jest bezdomny. Ma wojnę ze wszystkimi, nie ma rodziny, domu.

Nie wiem jeszcze, co to wszystko znaczy.

Dowiem się? Od tego mam powieść, by błędzić, snuć się wokół sensu uchodzenia. Powieść wiedzie, wodzi, uwodzi.

Snuć opowieść czy snuć się po opowieści? Snucie nie zobowiązuje, kołysze się.

Kołysanie.

Dlaczego wszystko to musi się wiązać z Prokocimem Nowym?

7 stycznia

Nie zabiorę dzieci do Prokocimia. Nie pokażę im okien mieszkania, bloku, ulicy, na której grałem w kolarzy. Nie będę szukał ścieżek i zatartych tropów. Prowadzić dzieci po własnych śladach, pokazywać wyblakłe widoki – można. Ale nie.

Miałem dzieciństwo, każdy miał. Moje było dobre. Ale ilekroć myślę o Prokocimiu, nie czuję nic. Nie drżą struny nostalgii, nic nie drży. To było brzydkie miejsce i takie pozostało. Mnie tam nie ma. Wspomnienia oderwały się od miejsca. Jestem gdzie indziej.

Ale przecież tam rodziła się moja mowa, tam mieszały języki. Tam wypowiadałem pierwsze słowa. Osiedle z wielkiej płyty, zbieranina klas i grup, wieża Babel.

Mowa domu, mowa podwórka, różne mowy podwórka. Podkrakowskie gwary, cygańskie słowa, nieobecne w domu przekleństwa. To wszystko się zderzało, tworząc mowę śmieciową, którą rozstrzygaliśmy spory, graliśmy w kolarzy, wołaliśmy się na boisku.

Nie zabiorę dzieci do Prokocimia, choć tam gaworzyłem, majaczyłem i słyszałem pierwsze obce słowa. Obce słowa padały na próg mojego domu, obcość była tuż za progiem. Nie zabiorę.

Schulz:

Pierwotne słowo było majaczeniem, krążącym dookoła sensu.

Sensu światła? Sensu świata? Znawcy mają wątpliwości. Nawet to się zatarło. Może miało ujść? Świat i światło, sens gdzieś pomiędzy. Pomyłka jak nie pomyłka. Jak pułapka, wnyki na tropicieli słów.

8 stycznia

Siedzę i czytam Sebald.

Ale przecież nie siedzę i nie czytam, bo piszę, że czytam. Może zatem i siedzę, ale przeczytałem, będę czytał lub zmyślał. Ale terażniejszość uwodzi, czytamy, że piszący właśnie czyta, i wierzymy mu, choć to kłamstwo łatwo przejrzeć. Dlaczego się nabieramy i na co się nabieramy?

Może siedzący i piszący, że czyta, chce wierzyć, że czyta, wyobraża sobie swoje czytanie tak mocno, że zapomina, iż nie czyta, bo pisze. Jego wiara we własną opowieść jest tak szczerą, że czytelnik widzi narratora czytającego, a nie piszącego o czytaniu. Teraźniejszość, której nie ma, w powieściach ciągnie się czasem przez setki stron; wszystko jest w wydarzaniu się, właśnie dokonuje się, ciągle niedokonane. Napisałem? Przeczytałem? Rozkosze gramatyki.

Dlaczego napisałem: Sebald? Nie czytałem go dzisiaj, tylko Czarny potok Buczkowskiego. Czy to ma znaczenie? Może jestem zbyt odurzony, by pisać o Buczkowskim?

Siedzę i czytam Buczkowskiego.

9 stycznia

Wszystkie powieści pisane w pierwszej osobie są do siebie niepokojąco podobne.

Podglądanie czyjegoś ja jest zajęciem dwuznacznym. Ja narratora jest obce, nie znamy go z początku i nie wiemy, dokąd nas zaprowadzi. Ale potajemnie gramatyka każe nam zawrzeć z tym ja pakt, gdyż każde ja jest zawsze moje. Podsluchane, staje się moim szeptem, a nieznana opowieść staje się moją opowieścią, której końca nie znam. Coś wypływa ze mnie tajemniczą historię, kiedy czytam: poszedłem, zrobiłem, zawróciłem, zdradziłem, zabiłem. Jakbym odkrywał swe wyparte losy, zmuszał się, by je zwymiotować.

Narracje w pierwszej osobie są jak anamneza, dochodzenie do naszego najsekretniejszego wyznania. Jakie bowiem jest inne usprawiedliwienie ciągłego szeptania: ja, ja, ja? Czytam o sobie jak o kimś obcym. To kara i nagroda za podsłuchiwanie.

10 stycznia

Smak powieści nienapisanej. Dziwne przeczucie całości, której jeszcze nie ma. Dziwne, bo bardzo mocne, jakby powieść była na wyciągnięcie ręki, przed oczami. A nie jest, powieść nigdy nie jest na wyciągnięcie ręki. Czym zatem jest to coś na wyciągnięcie ręki?

Nie jest słowem, jest przedśłowiem. Więc nie jest powieścią. Jak zatem może być na wyciągnięcie ręki? Jak może jawić się jako powieść, skoro nie ma jeszcze żadnego słowa? Co niesłownego podaje się za powieść? Jakaś rzecz, rzecz, świat? Przedśłowne kosmosy, majaki. A jednocześnie powieść nigdy nie jest tak pełna, tak cała i dobra, jak w tym przeczuciu. Umieć za nim podążyć, wysławić niesłowne zjawy.

Dlaczego uchodźca i uchodzenie? Skąd ten zaczyn, który zaczyna rosnąć?

Uchodźić, uciekać, umykać, ubiegać. Pokrążyć wokół słów, posłuchać, co chcą powiedzieć.

Uchodzi z Prokocimia czy do Prokocimia? I czy to ma znaczenie?

Szare imię, które nic nie znaczy. Wytarte od nadużyć, imię puszczane mimo.

Józef. Imię cichego świadka w samym centrum. Imię milczącego, pominiętego, niezapytanego. Niezagajony, niezagadnięty. Józef.

11 stycznia

Józef, niezapisana karta.

Wszystko jest możliwe. Czy na pewno? Czy nie będzie kolejnym moim Józefem, Bartłojem, Błażem? Czy naprawdę może się wyrwać, wybić na niepodległość? Nie podlegać nikomu, nawet autorowi? Być sobie Józefem na własny rachunek? To wszystko jest w zasięgu ręki. Ale nie dla Józefa.

Józef, syn Jakuba, to oczywiste. W Biblii, u Schulza, w *Oberkach*. Tu też. Ale nie będzie ani chwili Jakuba, nie będzie o Jakubie i jego mocowaniu się z aniołem. To Józef będzie uchodził, ojciec tym razem w rozmażonym tle.

Józef, sprzedany przez braci, powraca w chwale. Jaka chwała? Może wystarczy samo sprzedanie?

Nie widzę Józefa dobrze i nie zobaczę. Jest niski, wysoki, łyseje, tyje? Nie chcę go widzieć na oczy.

Chcę Józefa usłyszeć. Chcę wsłuchać się w intonację i rytm zdań, jego mocowanie się z językiem, ślizganie po obrazach i słowach.

Niech pisze dziennik.

Niech uczy się mówić: to będzie jego pierwszy dziennik, strojenie głosu, szukanie rejestrów. Niech się zмага, zaciska zęby i brnie, dzień w dzień, w wyznania, kłamstwa, zmyslenia, niech lepi siebie. Niech kradnie i podsłuchuje, niech porzuca swe łupy.

Uchodźca jest na granicy języków. Swój musi porzucić, nowego nie ma. Uchodź z języka. Co to znaczy?

Nie mieć mowy, nic nie mieć.

Kupię mu tylko marynarkę. Szytą na miarę, niech ma. Na miarę, ale nie na niego. Kupił ją na allegro i polubił. Dobra wełna, ciepła wełna, tweed. Marynarkę uszyto na garbatego. I Józef się w niej garbi, dostosowuje do kroju, wtedy lepiej leży. Kiedy stoi prosto, materiał marszczy się. Zmarszczony lub zgarbiony, Józef nie może się zdecydować.

Dlaczego ją lubi? Może nie będzie lubił? Ukryje w szafie? Wyrzuci?

12 stycznia

Józef lubi swoją marynarkę. Ma jedną i jest z niej dumny. Bywają tygodnie, że o niej zapomina, ale jak zacznie nosić, to nie może przestać. Traktuje ją jak kurtkę, w chłodne dni stawia kołnierz i owija się szalikiem. Lubi dotyk materiału, wzór jodełki, beże i zielenie grające w słońcu. Czuje się bardziej literacko, kiedy odkrywa, że marynarka ma kolor smarkozielony. Tak go nazywa i liczy, że każdy rozszyfruje aluzję. Znajomi uśmiechają się, zakłopotani. A Józefowi przestaje przeszkadzać, że jest stateczny i pulchny. Zaczyna się golić regularnie.

Marynarka to jednak za mało. Może się przyda, ale nic się z niej nie urodzi. Szorstka wełna, ukryty garb, za mało. Muszę dać Józefowi coś więcej, muszę mu dać słowo. Niech się nim bawi, obraca, mamle, ślini. Ze słowa coś się może

urodzić. Bez słów, wokół których można krążyć, dziennik Józefa niewiele zdziała.

Józef:

Płakałem cały wieczór.

Redaguję cudze słowa. Grzebię w cudzym słowie. W cudzysłowie jak w rowie. Pogrzebany.

Pisać, kiedy oczy się zamykają, i pisać, kiedy nic ważnego się nie wydarzyło. Pisać dziennik, kiedy nie ma nic do napisania, i pisać, gdy wszystko się wali. Zawsze się wali i zawsze pisać. Płacić haracz codzienności, ujawniać jej codzienne piekło. Mozolnie i pod górę. Dotrwać do końca grudnia i spalić dziennik. Patrzeć, jak płonie i nie żałować. Dożyć do końca roku.

I przestaje pisać na tydzień. Potrzebne mu jest słowo. Małe, nośne, tajemnicze słowo do niebezpiecznych zabaw. Józef jeszcze nie wie, że jest uchodźcą, na to słowo jest za wcześnie. Dam mu wywlekanie, niech sobie Józef powywleka.

13 stycznia

Słowo pomogło. Józef bawi się, cieszy, wywleka. Zaczyna pisać. Najpierw myśli nad tytułem. Liczne propozycje:

Dziennik lustrzany

Dziennik powrotu

Dziennik próby

Dziennik. Próby

Rok powrotu. Dziennik

Rocznik próby

Dziennik niepokoju

Dziennik wywlekania

Wywlekanie. Dziennik

Józef chce, by dziennik obejmował rok życia i był porządkowany mglistemu jeszcze zamysłowi wywlekania. Wyraźnie podoba mu się to słowo, które z każdym dniem pęcznieje od znaczeń. Wywlekanie pozostaje jednak na razie koncepcją niejasną. Ma być ujawnianiem tego, co ukryte i bolące, nazywaniem spraw nienazywanych wcześniej przez samego Józefa.

Jednocześnie nie chodzi o sekrety psychologiczne i życiowe tajemnice. Jak wyznaje, wzmianka o dwudniowej niewierności sprzed dziesięciu lat nie jest jeszcze wywlekaniem, podobnie jak nie byłaby nim dokładna relacja z wiaryłomnego weekendu. Józef widzi siebie raczej jako wróżbitę, który odczytuje sekretne sensory pozornie błahych zdarzeń i niepokojów. Wywlekanie sięga trzewi.

Józef:

Wywlekanie nie jest ujawnianiem znanego. Sięganie po omacku, nazywanie nieznanego, kiedy wywleczone na światło. Nie mam szkatuły z sekretami, jedynie wędrowne niepokoje, przecucia, ślady wspomnień. Wywlekanie to też prześwietlanie zmysłów, szukanie ich źródeł podziemnych, zgrozy, która je wydała na pastwę.

Wywlekanie, wywłóczenie, włóczenie.

Oswajam się z tytułem, musi mnie ogarnąć.

Słowa na wy-, dobre słowa.

Wywlekanie na nice, nicowanie.

To robić, włóczyć się.

Wywlekanie, odwlekanie. Zwłoka. Tak czy owak, włóczenie. Odwlekanie jest przynajmniej jakimś krążeniem wokół. Omijaniem tego, o czym nie można, choć być może właśnie dlatego się powinno.

14 stycznia

Biurko Józefa jest tak ustawione, aby każdy wchodzący do pokoju od razu widział jego pochylone nad klawiaturą plecy. Każdy, jeśli wejść cicho, drzwi nie skrzypią i cały mechanizm klamki działa bezgłośnie, może zajrzeć przez ramię i odczytać rodzące się słowa.

Być może ta sytuacja nie do końca podoba się Józefowi, ale nie ma wyjścia. Mieszkanie jest tak małe, że inne ustawienie stołu do pisania jest niemożliwe. Zresztą, idea wywlekania musi się niechętnie oswoić z tym, że wydobywa się na jaw to, co ukryte. Spisane słowa stają się jawne, jawna jest ich nieporadność, nieplanowana szczerłość, niegotowy charakter.

Cały Józef jest niegotowy, niegotowy na życie, na wolność i na pisanie. Być może dlatego zwlekał z postawieniem pierwszego słowa tyle lat. Zwlekał, teraz wywleka; włączył, zwłączył, aż wywłączył; włączyć. Do tych przeobrażeń Józef dotrze dopiero za jakiś czas, zrozumie swój los. Na razie siedzi przed monitorem i obmacuje wywlekanie. Czuje, że słowa ślizgają się obok, że prowadzi ze słowami dziwną grę, której reguły dopiero się tworzą. Stworzą się? Nie wiadomo.

Dlaczego nie pisał do tej pory?

Potrafi poprawiać lepszych od siebie. To tylko pozorny paradoks. Poprawianie przychodzi jednak na gotowe. Nawet niegotowy tekst jest jakoś gotowy, można nad nim dalej pracować. Józef jest dobrym redaktorem. Jednak nigdy nie był gotowy na własną mowę, która rodziłaby się od podstaw, od jednego słowa, myśli, obrazu.

Pierwszą powieść chciał napisać w wieku dwudziestu pięciu lat. Skończył studia, ożenił się, sporo decyzji podjęło się w jego życiu, ale miał poczucie, że wiele spraw jest jeszcze płynnych. Bycie pisarzem przelewało się w jego myślach, wyobrażał sobie siebie piszącego, wygłaszającego mowy, odmawiającego przyjmowania nagród. Łapał się na tym, że

podczas spacerów z psem, spanielką o imieniu Szczerba, układa sobie mowę noblowską.

Brał smycz z gorącym postanowieniem przemyślenia luźnych pomysłów na powieść, bawiąc się tą myślą, zbiegał ze schodów na pole, na łąki, które wtedy jeszcze rozciągały się przed jego blokiem. Szczerba z radością buszowała w olchowych zagajnikach, a on zamiast pisać, wygłaszał szeptem głębokie zdania o istocie literatury.

Suka zdechła, porzucone pomysły powiędły, Józef umościł się w roli redaktora. Zawsze o krok przed pisarzem, wyłapujący idee kryjące się za słowami, zdolny poprawić wszystko, ceniony, stateczny i pulchny. W okolicach trzydziestych trzecich urodzin demony powieści powróciły. Nie było suki, łąki zabudowano, Józef zaczął krążyć po Krakowie, podsłuchując ludzi, obserwując zwykłe życie, łapiąc słowa, melodie, metra.

Pilnie notował, gromadził galerię postaci, szukał pomysłu, który powiąże te głosy ze sobą. Bardziej wyczekiwał, niż szukał, wierzył, że nagromadzone słowa same przemówią, z oddzielonych punktów ułoży się obraz, a on tylko poprowadzi swe pióro, łącząc wszystko w jasną konstelację. W wyczekiwaniu przeszkadzała mu praca, codzienność i drobne problemy finansowe, które rozwiązywał, zarywając noce. Punkty nie ułożyły się w konstelację, zostało archiwum głosów, wstydlivy dowód niegotowości.

15 stycznia

Napotkałem Józefa dwa tygodnie temu, w chwili gdy zaczynał pisać dziennik. W pierwszym zdaniu opłakiwał kolejny projekt, który ostatecznie rozsypał się w noc sylwestrową.

Przez kilka miesięcy układał klocki, przestawiał, konstruował, lepił pomysły. Nadszedł sylwester, upojenie, tańce na granicy zdrady, niesmak i obrzydzenie sobą. Na balkonie,